



ANDRZEJ F. PACZKOWSKI

NA ZŁOŚĆ

Na złość

Andrzej F. Paczkowski

© Copyright by Andrzej F. Paczkowski & e-bookowo

Zdjęcie na okładce: Agata Bonter

Projekt okładki: e-bookowo

Korekta: Katarzyna Jarkulisz

ISBN 978-83-7859-360-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2014

Patrzyłam z okna, kiedy ojciec, niski mężczyzna o łysawej głowie, jak tylko przekroczył próg, a nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą porządnie furtki, od razu wdepnął w gównno.

– Niech to szlag! – zaklął.

Wyglądał na zmęczonego, pobrużdżona twarz wyraźnie nosiła ślady zmęczenia i niewyspania. Wielki nos, przypominający raczej bulwę ziemniaka niż nos człowieka, rozszerzał się i zwężał w porywie silnego wciągania i wydmuchiwania powietrza, tak bardzo był wzburzony tym, co go zastało za furtką. Tak było każdego dnia.

– Wszędzie gównna! Nie ma miejsca, żeby nie wdepnąć w gównno! – mówił do siebie, zaciskając i tak już białe, wąskie usta, co oczywiście nie dodawało mu urody.

Obserwowałam ojca zza firany, stojąc w swoim pokoju.

Na głowie pozostały mu jeszcze długie na około osiem centymetrów włosy, przerzucane z jednego boku na drugi, tak by przykryć łysą czaszkę na samym środku. Tym sposobem starał się zatuszować postępującą łysinę, którą i tak wszyscy widzieli, ponieważ była już w bardzo zaawansowanym stanie, a tego nie dało się ani cofnąć, ani też ukryć, jakkolwiek by się starać.

– Jak ja tego nie cierpię!

Szedł, a właściwie przeskakiwał przez plac, na którym kiedyś (całe dwadzieścia lat temu!) rosła gęsta zielona trawa, koszona przez niego raz w tygodniu, nową kosiarką ręczną

kupioną od razu po ślubie. Aby było jak w amerykańskim filmie. Tego pragnęła mama. I otrzymywała co chciała, bo Zdzisiek robił wszystko, czego jego małżeństwo sobie zaży- czyło. Chciała świeży chleb rano, to biegł w te pędy do sklepu o szóstej, jeszcze zanim się obudziła. Chciała skoszoną trawę? To ją skoszoną miała. Chciała aby ją pieprzył „na pieska” to ją brał od tyłu, bo każda pozycja mu odpowiadała, był prze- cież facetem (podglądałam z bratem przez dziurkę od klu- cza). Czegokolwiek zapragnęła, dostawała to bez szemrania. Bo tata bardzo ją kochał i, jak widać, nie wypłaciło mu się to.

– Ja już rzygam tymi gównami. Jak Boga Kocham, wszę- dzie gówna!

Gdzie podział się ten piękny plac, ta soczysta trawa ko- lorem przypominająca nadzieję? Gdzie zniknęły zasiane kwiaty, wydzielające upajającą woń? Gdzie, pytał się każdego dnia, wracając do domu. Bo teraz pozostały mu już jedynie pytania, odpowiedzi nie potrzebował nikt.

Odchody na placu, przy każdym wdepnięciu, wydawały niesmaczne dźwięki, charakterystyczne chlupnięcia. Do tego rano spadł deszcz, co tylko pogorszyło sprawę. Kupy prze- siąknięte wodą przyprawiały go niemalże o apopleksję.

W pewnym momencie noga poślizgnęła się i jak długi wy- rznął orła. Walizka upadła z pluskiem w kałużę deszczówki rozmieszanej z kaczymi kupami. Marynarka się zachlapała, spodnie na tyłku przesiąknęły brudem.

– Ja ją zabiję! Jak psa! Już to się skończy!

Podniósł walizkę i uczynił kolejnych parę kroków, by wreszcie dostać się na schody prowadzące do drzwi domu. Ale i tu, bo chodź schody były ukryte pod dachem, to jednak nie uchroniło ich to przed masą gówien leżących aż po sam szczyt. Pięć pierdolonych, umorusanych gównami schodów!

Droga cierniowa! I każdego dnia to samo. Smród niósł się niemiłosierny.

Ona chyba ocipiała, że do tego doprowadziła.

On chyba upadł na głowę, że jej na to pozwolił.

Kiedy to się właściwie stało? Przecież nie dzisiaj. Te gówna leżą tu już miesiącami. Każdego dnia pojawiają się nowe i nowe. Od tego można, kurwa, zwariować. Cały ten dom, ich życie, wszystko było po prostu jednym wielkim gównem. Musiał coś zrobić, nie ma szans. To się skończy. Tu się dzisiaj wydarzy coś złego. Dojdzie do katastrofy. Pierdolnie kometa. Rozjebie się wszystko na maksa. Poleje się krew. Po prostu zabije ją i nastanie spokój. A potem wyrznie w pień wszystkie kaczki! Bo tak dłużej już być nie może.

– Albo ona, albo ja! – postanowił.

Włożył klucz do dziurki, przekręcił i otworzył drzwi. Buty znajdowały się w opłakanym stanie, a były to ostatnie buty na które wydał tyle kasy, której zresztą nie miał. Za te buty się jej dostanie!

Zamknął za sobą drzwi. Ona akurat wchodziła do przedpokoju z porcelanową miską w ręce, jeszcze od jego matki nieboszczki, która dobrze zrobiła że wykitowała, bo wpięprzała się do wszystkiego. Nie było dnia by czegoś nie krytykowała, oczy miała i w dupie, nic nie umknęło jej uwagi. A jej córka, czyli mama, była taka sama!

– O, już jesteś? – zapytała zmęczonym głosem i odwróciła się, jakby go nie było. Nie zapytała jak było w pracy, jak się ma, tylko takie zwykłe: „o, już jesteś”, jakby się zdziwiła, że on też tu, kurwa mać, mieszka.

Ale nagle kątem oka spojrzała na ojca, na mokrą walizkę, na powiększającą się plamę na jego tyłku i buty oblepione od gównien. Rozszerzyła oczy ze zdziwienia.